

O matko święta!

MAJA KOMASIŃSKA-MOLLER

O matko święta!

CHRZEŚCIJAŃSKA
MAMA
OD A DO Z

Wydawnictwo WAM

Moim Dzieciom

Kilka słów na początek



Ta książka zrodziła się z przekonania, że wierzącej kobiecie – niezależnie od tego, czy wchodzi w rolę córki czy żony, matki bądź przyjaciółki – potrzeba czegoś więcej niż jedynie wzorców do naśladowania. Pragniemy nie tylko ukierunkowania wysiłków, jakie wkładamy w pracę nad sobą, ale też zrozumienia. Nie tylko formacji, lecz również relacji. Dlatego ta książka to nie tyle żywoty świętych, ile próba odnalezienia w życiu inspirujących kobiet tego, co ponadczasowe. To próba zaprzyjaźnienia się z nimi – możliwa przecież dla tego, kto wierzy w świętych obcowanie i Kościół wspierający nas swoją modlitwą (i, jak wierzę, również życzliwym spojrzeniem) z nieba.

Czasem w naszej codzienności potrzeba nam tylko jednego – by ktoś okazał nam wsparcie. By nas przytulił i uściskał ktoś, kto nas rozumie. Niekiedy jest to możliwe, jeśli otaczają nas mądre kobiety, które z życzliwością i troską współdzielą nasze zmagania. A gdy ich brakuje? Wiara podpowiada mi, że mogę szukać ich również w niebie. Mam nadzieję, że w gronie opisanych tutaj kobiet znajdziesz bratnią duszę, duchową przyjaciółkę albo duchową matkę, zależnie od tego, jakiego wsparcia najbardziej ci dzisiaj potrzeba.

Żeby napisać cokolwiek na temat świętych, trzeba najpierw sporo przeczytać. Ostatni rok był więc dla mnie czasem przeszukiwania bibliotek, wykradania książek od znajomych, poruszania nieba, ziemi i Facebooka, by zdobyć pozycje wydawnicze sprzed lat, i regularnych wypraw do antykwariatu. Był to jednak dopiero pierwszy krok. Drugi okazał się trudniejszy: potrzebowałam do niego jedynego w swoim rodzaju sita, które odsiewa nadmiar lukru i cudowności. Musiałam się przekopać przez góry niezwykłych przymiotników, przez szlachetność, bezinteresowność i pobożność odmieniane przez wszystkie przypadki, by w końcu zobaczyć osobę z krwi i kości.

Z portretów zamieszczonych w żywotach świętych patrzę na mnie często kobiety, których spojrzenie onieśmiela. Gdy czytam, jak zawsze przedkładały dobro innych nad swoje, jak nigdy nie narzekały lub wręcz – o zgrozo – że „cierpienia były dla nich rozkoszą” (św. Edeldreda), myślę, że albo to nie dla mnie, albo że nigdy w życiu nie uda mi się zostać takim chodzącym ideałem. Dopiero gdy zostawię na boku pobożne ozdobniki, mam szansę zobaczyć w świętych kobietach osoby w jakiś sposób mi bliskie. Mam szansę dostrzec, że zmagamy się z podobnymi problemami i przechodzimy podobną drogę (choć ja dopiero na niej raczkuję, a one doszły już do Celu). Być może w modlitwie wypowiadałyśmy te same słowa, dzieliłyśmy podobne troski i stawałyśmy przed przeszkodami, które w ciągu wieków pozostały takie same.

Początkowo myślałam, że zadanie, które sobie postawiłam, przerośnie moje siły. Przeglądając żywoty świętych, szukałam sylwetek kobiet, których przeżycia mogłyby być mi bliskie. Tymczasem niezależnie od litery alfabetu rozpoczynającej spis imion w kolejnych tomach spotykało mnie to samo: trafiałam na życiorysy osób duchownych i/lub mężczyzn, a nie kobiet, w dodatku świeckich. Czy wiecie, że w książkach o świętych znalazłam dwudziestu sześciu świętych Franciszków (wliczając w to oczywiście Biedaczynę z Asyżu)? Święte Franciszki były natomiast tylko dwie...

A jednak po jakimś czasie okazało się, że żyjących w bliskiej relacji z Bogiem i inspirujących swoim podejściem do życia żon oraz mam było całkiem sporo. Niektóre z nich są powszechnie znane, jak św. Monika czy Joanna Beretta Molla. Inne odnalazłam, przekopując czeluście internetu, przypominając sobie podstawy języka włoskiego, by doczytywać szczegóły, i ścierając kurz z książek wydanych kilkadziesiąt lat temu. Te poszukiwania pozwoliły mi odbyć niezwykłą podróż przez wieki chrześcijaństwa, ale też przez życiowe dylematy i problemy, z którymi zmagam się na co dzień.

Bardzo chciałam poruszyć temat świętości matek (lub szerzej: osób świeckich) również dlatego, że świętość matek – co widać również w dokumentach historycznych Kościoła – często jest świętością nienarzucającą się, ukrytą, a jednocześnie bardzo konkretną. Jest cicha i zwyczajna. I jestem przekonana, że wiele podobnych matek, żyjących Bogiem, a więc miłością,

w konkretności codzienności, jest obecnych wokół mnie. Dają ciche, wytrwałe świadectwo i inspirują. Nikt nie pisze o nich książek, ale to, co noszą w sercach, na kartach świata zostaje potem zapisane przez ich dzieci. Ich świętość widać tylko od czasu do czasu, jakby nie chciały nią zajmować otoczenia. Na co dzień zwyczajnie, w chwilach wymagających świadectwa pokazują, czym jest prawdziwa wiara. Ich decyzje, postawy, wydarzenia z ich życia są dla mnie jak okruchy nieba, bo święci to chyba właśnie ci, którzy potrafią sięgnąć do nieba z ziemi, by nakarmić nie tylko siebie, ale i innych...

Jestem też przekonana, że droga do świętości oznacza bycie blisko Boga w tym, co wypełnia naszą codzienność, a nie idealne życie pozbawione błędów. I to jest kolejny powód, dla którego chciałam zainspirować się życiem świętych mam. Żyjemy w czasach, w których niekiedy wymaga się od nas bycia idealnymi: mamy sobie radzić w pracy, dobrze wychowywać dzieci, orientować się w nowościach muzycznych i kinowych i jeszcze nie oddalać się za bardzo od ideału 90–60–90.

Brene Brown w swojej książce *Z wielką odwagą* pisze o tym, jak wiele wymagań pojawiających się w naszym życiu odnosi się do macierzyństwa:

* * *

Kobiety są nieustannie pytane, dlaczego jeszcze nie wyszły za mąż, a jeśli są już mężatkami, to dlaczego nie mają dzieci. Nawet kobiety, które są mężatkami i mają jedno dziec-

ko, często się pyta, dlaczego nie mają drugiego. Różnica wieku między twoimi dziećmi jest zbyt duża? „Co sobie wyobrażałaś?” Zbyt mała różnica? „Dlaczego? To nie w porządku w stosunku do dzieci”. Jeśli pracujesz poza domem, to pierwsze pytanie brzmi: „A co z dziećmi?”. Jeśli nie pracujesz, to najprawdopodobniej usłyszysz: „Jaki ty przykład dajesz swoim córkom?”. Wstyd matczyny jest wszechobecny – to niezbywalne prawo przysługujące od urodzenia każdej dziewczynce i kobiecie. Jednak prawdziwym problemem kobiet – potęgującym nasz wstyd bez względu na kategorię – jest oczekiwanie ze strony innych osób (a czasem nasze własne pragnienie), że będziemy perfekcyjne, choć nie wolno nam dać po sobie znać, że nad tym pracujemy. Chcemy po prostu, aby się to w jakiś sposób urzeczywistniło. Wszystko powinno odbywać się bez wysiłku. Oczekuje się, że będziemy naturalnymi pięknościami, urodzonymi matkami, urodzonymi przywódczyniami i partnerkami, a poza tym chcemy należeć do bajecznych rodzin¹.

Katoliczki mają, jak sądzę, jeszcze wyżej zawieszoną poprzeczkę, bo oprócz tego słyszą często, że mają być zawsze uprzejme, miłe, cierpliwe, zaangażowane w Kościół, ale jednocześnie dbać o dom i harmonijnie łączyć to z pracą i wspieraniem dzieci oraz męża. Wydaje mi się, że to ciężar, który same na siebie nakładamy: ideał, który próbujemy przykładać do

swojego życia na zasadzie szablonu – przykładamy, odrysowujemy, a potem wycinamy, odcinamy, odrzucamy. Jak często same się wtedy ranimy? I dlaczego wyręczamy w tym Boga, najlepszego Ogrodnika, który sam przycina latorośle tak, by dawały najlepsze owoce...?

Świętość to nie szablon – niezmienny jak matryca w fabryce. Świętość jest skrojona na naszą miarę i pasuje do naszego życia jak ulał. Droga do niej dla każdej z nas jest inna, bo wynika z naszego potencjału, naszych unikatowych cech, Bożych darów. Świętość jest skrojona na miarę naszej codzienności – myślę, że nie trzeba w niej szukać dodatkowych umartwień, bo tak naprawdę dostajemy je często w pakiecie razem z obowiązkami. Nie każdy musi też wzdychać z tęsknotą za wyjazdami na misje (choć niektórzy są z pewnością powołani do takiej drogi), bo nasze małe codzienne misje czekają na nas w domu i w pracy. I uczą nas miłości, a to najważniejsze.

Droga do bycia taką kobietą, jaką Bóg chciałby, bym była, nie prowadzi przez dopasowanie siebie do wzoru „idealnej matki” albo „matki uniwersalnie świętej”. Ta droga wiąże się z poznawaniem siebie, dostrzeganiem wyjątkowych darów, jakie od Niego otrzymałam, i rozwijaniem ich, by być w pełni sobą: kobietą nieidealną, ale taką, która widząc zarówno swoje zalety, jak i wady, potrafi powiedzieć z wdzięcznością: „Dziękuję Ci, że mnie stworzyłeś tak cudownie” (Ps 139,14).

Czytając tę książkę, będziesz miała szansę poznać kobiety, które mnie zainspirowały. Przykłady te nie wyczerpują jednak

tematu mam żyjących w głębokiej relacji z Panem Bogiem. To mój subiektywny wybór. Staralam się pokazać postaci różnorodne, żyjące w różnych czasach i na różne sposoby dochodzące do świętości. Zachęcam cię, byś czytając o ich losach, pytała siebie, co jest twoją unikatową drogą – co cię pociąga i do czego czujesz się zaproszona. Jeśli czujesz, że któraś z postaci jest ci szczególnie bliska, zachęcam cię do sięgnięcia do bibliografii i do zapoznania się z materiałami na jej temat.

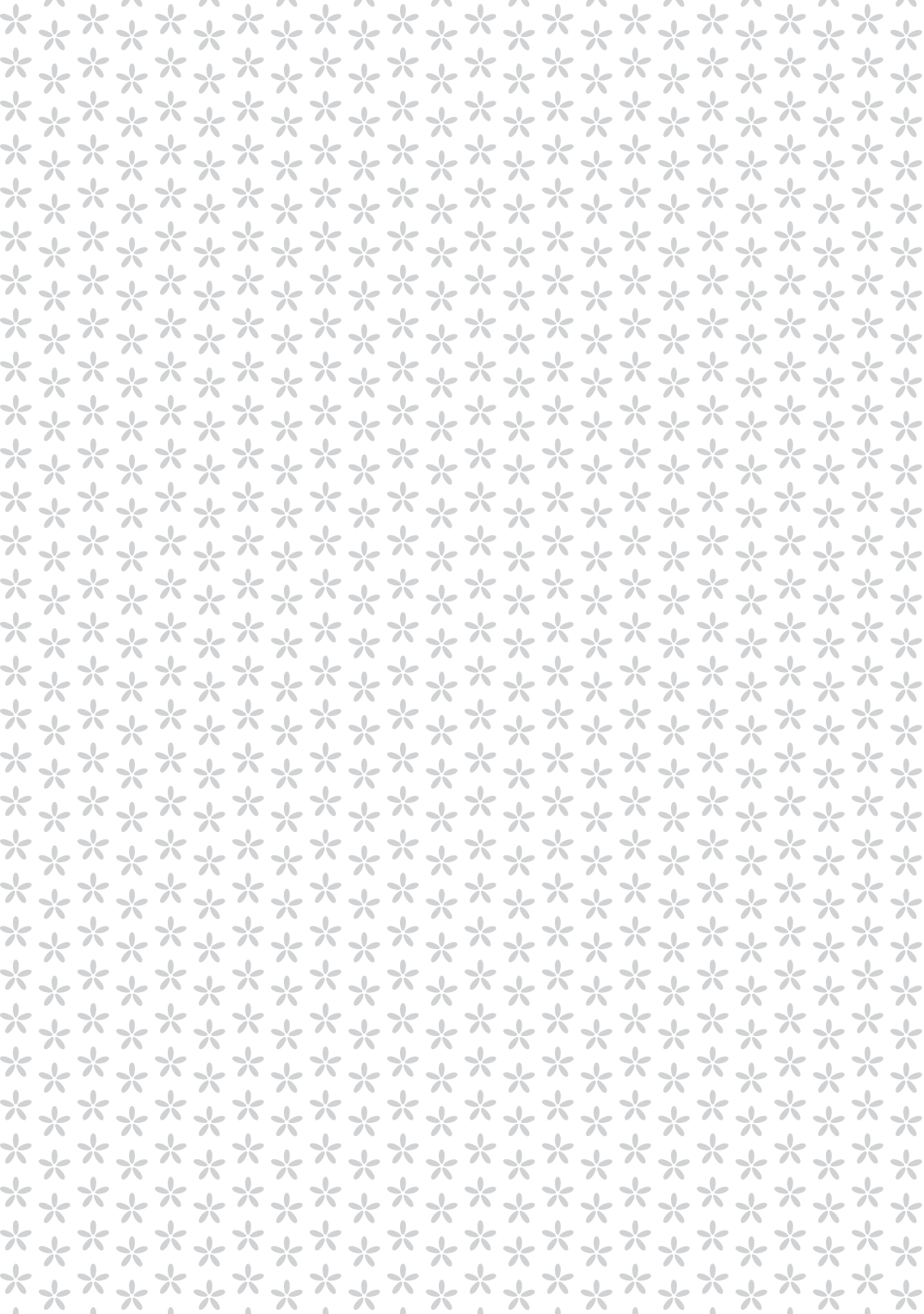
Książka prowadzi nas alfabetycznie przez hasła, nad którymi warto się zatrzymać w codzienności. Zdecydowana większość przedstawionych tu kobiet to matki, nie zawsze święte i błogosławione, ale również takie, które zmarły w opinii świętości i w szczególny sposób zapisały się w pamięci otaczających je osób. Na tej liście są jednak dwa wyjątki. Pierwsza postać, Elżbieta Leseur, była żoną, która mimo ogromnego pragnienia macierzyństwa umarła bezdzietnie. Znajdująca się na końcu moich rozważań św. Magdalena Zofia Barat była z kolei siostrą zakonną. Mimo to w jej życiu bardzo mocno widać zaangażowanie w macierzyństwo duchowe, a że dla wielu ludzi, również dla mnie, jest ważną i inspirującą postacią, zapragnęłam, by poznało ją więcej osób.

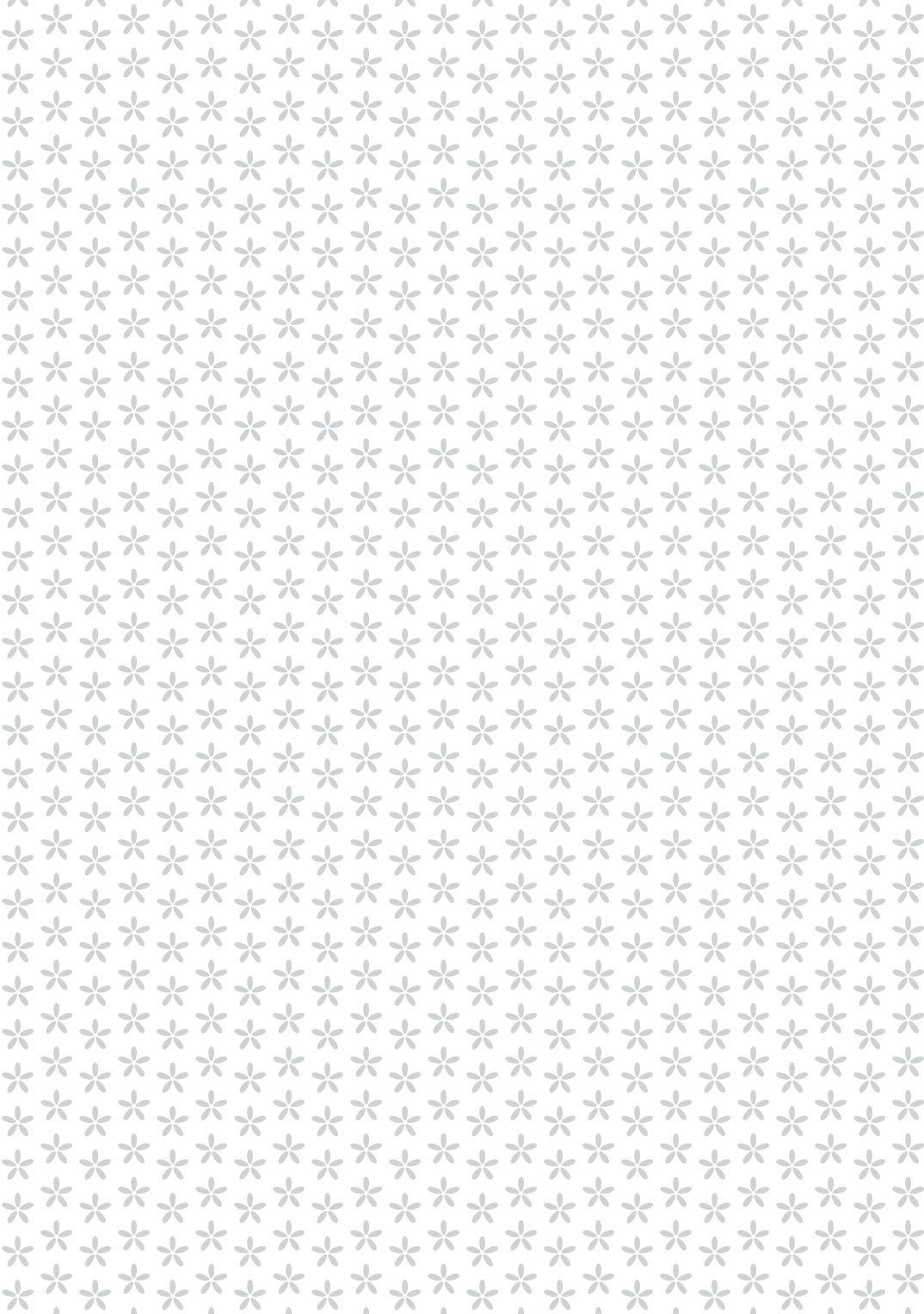
Życzę ci, aby lektura tej książki pozwoliła ci inaczej spojrzeć na twoją codzienność i na siebie – na sens twoich marzeń, pragnień, nadziei. Na sens trudności, zmagania i tego, czego nie rozumiesz. Patrząc na życie świętych, można czasem dostrzec, że Bóg naprawdę we wszystkim współdziała dla ich dobra. I że

nadzieja jest nawet wtedy, gdy wydaje nam się, że do świętości jeszcze daleko. Jak w słowach Piotra Czerwińskiego, które kiedyś bardzo mnie poruszyły: „Młodość jest jak te butelki, które rozwalaliśmy o ściany. Nie można ich skleić z powrotem, ale jest jeszcze szansa dla każdego z nas, marnych ciuli, że przyjdzie ktoś, kto ułoży z nich witraże”².

Bóg nawet z naszych potknięć, poszukiwań na oślep i błędów potrafi stworzyć niepowtarzalne arcydzieło. One Mu na to pozwoliły.

A ty? Odważysz się odważyć?





A — ATEIZM

Służebnica Boża Elżbieta Leseur



„Elżbieto, znasz moje nastawienie, przysięgam Bogu nienawiść, żyję tą nienawiścią i w niej umrę!” – krzyczał. Zadziwił go jej spokój i pogodne spojrzenie, od zdziwienia silniejszy był jednak wszechogarniający gniew spotęgowany całkowitą bezsilnością. Jego ukochana żona odchodziła. Nie mógł z tym absolutnie nic zrobić.

Feliks Leseur, bo o nim mowa, był francuskim dziennikarzem i lekarzem. Jego małżeństwo z piękną, pogodną i pełną elegancji Elżbietą było bardzo szczęśliwe. Tylko jednego nie potrafił w niej rozumieć. To jedno ich dzieliło: jej wiara. Nie mieściło mu się w głowie, że te „przesady” można brać na poważnie. Na krótki okres nawet udało mu się zachwiać wiarą Elżbiety. Podsuwał jej antyreligijne książki, dyskutował z nią, aż w końcu prawie się złamała. Potem jednak sama zaczęła dociekać, czytać, szukać odpowiedzi na pytania budzące jej wątpliwości. Nie tylko wyszła z tej próby zwycięsko, ale jej wiara tak się umocniła, że nawet pomimo osamotnienia i cierpienia więcej nie zwątpiła. Mimo trudności zaufała Jezusowi tak mocno, że tej wiary starczyło nie tylko dla niej, ale i dla jej

męża. Jego nawrócenie jest jednym z najbardziej spektakularnych nawróceń, o których słyszałam. Zanim do niego doszło, Feliks przeszedł wspólnie ze swoją żoną długą drogę.

Elżbieta urodziła się w zamożnej paryskiej rodzinie w 1866 roku. Jej ojciec był znanym adwokatem, matka prowadziła dom i dbała o wychowanie dzieci, przekazując im również swoją miłość do Boga. Być może to właśnie dzięki świadectwu mamy Elżbieta już od wczesnych lat trwała w relacji z Jezusem. Możliwe też, że wzięła sobie do serca to, co usłyszała od jednego ze swoich krewnych – że jej imię znaczy po hebrajsku „dom Boży”. I to chyba właśnie widać w jej życiu: Bóg nie był w nim gościem, nawet najdosłowniejszym i przyjmowanym z honorami. On był dla niej Domownikiem – kimś, kto siedł z nią przez codzienność i swoją obecnością przemieniał nawet to, co po ludzku nie dawało nadziei na zmianę.

Dzienniczek młodej Elżbiety pełen jest opisów codzienności i małych zmaganiań, takich jak kłótnie z bratem czy odmawianie zrobienia tego, o co ją proszono: „Gdy mnie o coś proszą, to zawsze odmawiam przez przekorę; to bardzo brzydko i postaram się z tego poprawić; proszę Boga, aby mi dał łaskę potrzebną, abym się poprawiła”³. Tuż obok znajdują się jednak zapiski, które zdumiewają i zachwycają dojrzałością. Młoda Elżbieta pisze o komunii: „Nic mówić nie mogłam, zanadto byłam szczęśliwa. Słuchałam Boga, który przemawiał do mej duszy, który mi wciąż powtarzał: «Jestem z tobą, posiadasz mnie!»”⁴.

Codziennosc dorastajacej Elzbiety wypeInial czas spedzany z rodzina i nauka na prywatnej pensji. Choć atmosfera panujaca w domu byla pełna zyczliwosci i ciepła, w mlodości Elzbiety nie brakowało trudnych wydarzeń. Jednym z nich byla śmierć jej mlodszej siostrzyczki, Marii, która zmarła niedługo po uroczystości pierwszej komunii świętej Elzuni.

W wieku dwudziestu lat Elzbieta poznala swojego przyszłego męża, Feliksa Leseura. Połączyclo ich zainteresowanie muzyką i literaturą. Wydaje się, że naprawdę do siebie pasowali – on kulturalny i wykształcony, ona miła, elegancka i również z bardzo dobrym wykształceniem. Pobrali się w roku 1889 i wtedy zaczęło się ich wspólne życie. Elzbieta była szczęśliwa w swojej roli. Należała do elity towarzyskiej tamtych czasów, zawsze wytworna, taktowna i uprzejma.

Nikt nie wiedział, że ta światowa dama w sercu była skupiona na Bogu, zatopiona w modlitwie i żyła duchem ofiarowania. Kilka miesięcy po ślubie zapadła na przewlekłą chorobę, która z czasem sprawiała jej coraz więcej cierpienia. Elzbieta oddawała je Bogu wraz z modlitwą za swoich niewierzących przyjaciół. Przeczuwając być może, w jaki sposób rozwinie się jej choroba, prosiła Boga również za swojego ukochanego. Prosiła w sposób niezwykle, mówiąc Bogu, że oddaje swoje życie w intencji powrotu Feliksa do wiary. A na co dzień, zwyczajnie i po cichu, chciała opowiadać o Bogu, nie wymawiając Jego imienia, tak by przybliżyć Go mężowi. „Najdroższy niedowiarok” – pisała o Leseurze z czułością.

Nie prowadziła krucjat. Nie manifestowała swojej dezaprobaty dla jego wyborów. Wybrała inną drogę: bycia blisko, z troską, czułością i modlitwą. Czuła, że właśnie do tego zaprasza ją Bóg:

* * *

Bóg dał mi tę łaskę, że widzę, jakie mam szczególne przeznaczenie. Kazał mi Bóg żyć wśród ludzi, którzy przeczą prawdom wiary, którzy prawd tych nie znają. Chciał On zapewne, abym poznała i zrozumiała najróżnorodniejsze stany dusz, abym mogła z nimi współczuć i z większą miłością i wyrozumieniem potrafiła pochylać się nad niewiarą lub zwątpieniem. Być dobrym Samarytaninem względem tylu zgorzkniałych serc, umysłów niespokojnych, zmaconych sumień; okazywać poszanowanie, delikatność, zrozumienie dla dusz; z całą łagodnością starać się przenikać do ich wnętrza, wlewając do nich po kropli, stosownie do stanu ich słabości lub rany, kojący balsam lub wzmacniające wino; ukazywać im Boga, promieniującego niejako z duszy naszej, w której On przebywa; wszystkim służyć i tym sposobem zdobywać serca dla Jezusa – oto zadanie apostoła, które przyjmuję od Ciebie, Panie mój, pomimo mej niegodności⁵.

Elżbieta pisze o „zadaniu apostoła”. Ja jednak widzę w tym zadanie matki – duchowej matki, z troską i delikatnością dbają-

cej o zagubionych. Elżbieta wybrała drogę, która jest mi bliska. Wybrała zacieśnianie relacji z Jezusem i wiarę, że On może działać również dzięki niej. Czuję, że to dobra podpowiedź zwłaszcza dla tych, którzy mają wokół siebie osoby niewierzące. Co zrobić w takiej sytuacji? Jak dawać świadectwo i autentycznie głosić Ewangelię, a jednocześnie nie wznosić murów między sobą a ludźmi, którzy myślą i czują inaczej?

Ojciec Ronald Rolheiser, autor książki *Duchowość seksualności* genialnie ubrał to w słowa:

* * *

Co zrobić, gdy ci, których kochamy, nie dzielają już naszej wiary, nie kierują się naszymi wartościami i zasadami moralnymi?

Oczywiście można się modlić i żyć dalej zgodnie z własnymi przekonaniami z nadzieją, że nasze życie będzie dla nich lepszą zachętą niż nasze słowa. Ale można zrobić coś jeszcze. Można ich nadal kochać i przebaczać im, wiedząc, że jak długo będą otrzymywać miłość i przebaczenie od nas, będą otrzymywać miłość i przebaczenie od Boga. My jesteśmy częścią ciała Chrystusa, a oni nas dotykają.

Będąc członkami ciała Chrystusa, gdy obejmujemy kogoś w miłości, obejmuje go ciało Chrystusa⁶.

Elżbieta obejmowała swojego męża w miłości, pozwalając jednocześnie, by dzięki niej obejmował go swoją miłością sam

Jezus. Pozostawiała przy tym przestrzeń i dawała wolność, wierząc, że Bóg sam znajdzie najlepszy czas i sposób działania, bo „to, co dzieje się między duszą ludzką a Bogiem, jest rzeczą świętą i nikt nie ma prawa niebacznie tego dotykać”⁷.

Z biegiem czasu Elżbieta doświadczała coraz większych cierpień fizycznych, choć długo ukrywała je przed otoczeniem. Codziennosc niosła również inne wyzwania. W 1905 roku umarła jej kolejna młodsza siostra, Julia, którą Elżbieta otaczała niemalże macierzyńską miłością. Elżbieta gorąco modliła się o jej uzdrowienie, a po jej odejściu boleśnie przeżywała stratę, choć wiara była jej w tym pomocą. Później postanowiła duchowo zaopiekować się chrześniaczką Julii (a jednocześnie swoją siostrzenicą). Przed uroczystością pierwszej komunii napisała dla niej rozprawkę na temat życia chrześcijanki. Pisze tam o relacji z Bogiem w sposób daleki od sztywnych reguł katechizmu. Pisze od serca, podkreślając, że duch jest ważniejszy niż litera prawa, a autentyczna wiara i miłość znaczą więcej niż zewnętrzne postawy: „Nie sądzę bynajmniej, iż mówiąc to, potępiam praktyki religijne. Daleka jestem od tego. Lecz praktyki owe powinny być jedynie wyrazem głębokich uczuć duszy: musimy być najpierw przeniknięte Prawdą, harmonią owej wielkiej całości, jaką stanowi Kościół, żywotnością i skutecznością dogmatów chrześcijańskich oraz wartością moralną i społeczną nauki katolickiej”⁸.

Podobny tekst Elżbieta napisała również z myślą o swoim siostrzeńcu. Mimo pragnienia macierzyństwa nie miała dzieci,

ale otaczała sercem i troską dzieci swoich najbliższych, spędzając z nimi czas i dbając o ich rozwój duchowy.

Mozna się tylko domyślić, jak bardzo czuła się osamotniona w wierze, nie mogąc dzielić się tym, co dla niej cenne, ze swoim mężem. Po wspomnianym już kryzysie wiary w 1899 roku Elżbieta zaczęła systematycznie zapisywać swoje przeżycia w pamiętniku. Kilka lat później, w 1910 roku, otrzymała w końcu wsparcie duchowe po nawiązaniu kontaktu z siostrą zakonną, Marie Goby. W listach do niej mogła opowiedzieć o tym, co czuła i przeżywała, o swoich najgłębszych pragnieniach. Po jej śmierci korespondencja ta została zebrana i wydana pod wymownym tytułem *Listy o cierpieniu*.

A cierpienie z biegiem czasu się nasilało. Choroba Elżbiety stopniowo wyniszczała jej organizm. Kobieta przechodziła kolejne operacje, do jej przewlekłych dolegliwości dołączył nowotwór i została niemalże przykuta do łóżka. Zmarła 3 maja 1914 roku, pozostawiając ukochanych przyjaciół, rodzinę oraz pełnego gorzoty i rozpaczony męża. Po pogrzebie Amelia, siostra Elżbiety, wskazała mu skrytkę w biurku, a w niej zapiski żony. Feliks odczytywał kolejne kartki i ze zdumieniem odkrywał znane fakty z życia żony w zupełnie innym świetle. Dwa lata później pisma te ukazały się drukiem i mimo szalejącej we Francji wojny były przekazywane z rąk do rąk i czytane z wielkim zainteresowaniem.

A Feliks? Feliks w pewnym sensie również umarł, przynajmniej dla świata. Nie tylko w końcu zrozumiał swoją żonę, nie

tylko uwierzył, ale w wieku pięćdziesięciu sześciu lat wstąpił do nowicjatu dominikanów. Przeżył dwadzieścia siedem lat jako kapłan, do końca życia opowiadając o historii Elżbiety i dając świadectwo swojego nawrócenia.

„Każda dusza, która wznosi się ku Bogu, wznosi również ku Niemu cały świat”⁹ – napisał Jan Paweł II. Elżbieta uniosła ku niebu swojego męża. Trudno o piękniejsze wypełnienie słów małżeńskiej przysięgi.